

CHASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE  
DLA DZIECI.



Przed egzaminem.

Egzamin, egzamin, ach, jutro już!  
Główeczkoż ty moja dobrze mi służ,  
Zatrzymaj mądrości wszystkie w pamięci,  
A żadne lenistwo niech cię nie znęci.

Książeczki wy moje, hej, ruszcie się!  
Dokoła, dokoła, okrążcie mię,  
Napędźcie rozumu pełno do głowy,  
Nauczcie mądrymi przemawiać słowy.

I troski rozwieście posępny cień,  
A gdy nadejdzie jutrzejszy dzień,  
Natchnijcie odwagą, dodajcie ducha,  
Niech każda, co umie, szepnie do ucha.

A gdy się rozstrzygnie dobrze mój los,  
Pozwolę wam spocząć, ułożę w stos,  
Przez całe wakacje żadnej nie ruszę,  
Bo przecież ja także odpocząć muszę.

A teraz, książeczki, poskoczcie w lot,  
Hej śpieszoie, na prawo, na lewo zwrot!  
I trudów nie szczędźcie, bo na tym świecie.  
Nic lekko nie przyjdzie, wy dobrze wiecie.

Ileć się na ozolo wystąpi znój,  
Wnet płynię do głowy nauki zdroj —  
Pracujmy, pracujmy, ochoczo, żwawo,  
Bo pracą spoczynku zdobędziem prawo.

Bożena.

# MAJÓWKA W OJCOWIE.

Komedyjka w jednym Akcie.

## OSOBY:

PIOTROWA,

NASTKA, jój córka,

PAN BIBUŁKIEWICZ, prof. gim. z Pińczowa,

KAZIO, } uczniowie gim. z Pińczowa,  
FRANIO, }

PANI ZARZYCKA, gospodyni p. Bibułkie-  
BARTŁOMIEJ, gajowy. [wicza,

*(Rzecz dzieje się w Ojcowie)*

*(w mieszkaniu Piotrowej. Drzwi jedne na lewo,  
drugie w głębi prowadzą do alkierza).*

## SCENA I.

PIOTROWA, NASTKA.

PIOTROWA (surowo). A nie mówiłam, żeby nie wypuszczać Krasuli, kiedy od tygodnia taka znarowiona? Ano, mówiłaś „wróci, wróci“ a cóż, czy wróciła? Ale tobie ino odpust w głowie i czerwona pasiasta spodnica.

NASTKA (popłakując). Matulu! Co ja winna? Ja tylko wrót nie zawarłam, idę nazad, a tu ten pan z Pińczowa woła: „Naściul pomóż no mi zanieść te skarby moje!“ tak ja zapomniałam o wrotach, bo mnie straszna ciekawość wzięła, czy to złoto albo co?

PIOTROWA. Co? złoto znalazł?

NASTKA. Ej, gdzie tam; kości i kamienie, jak zawsze. Tak, jak wróciłam, już Krasuli nie było.

PIOTROWA. A kto jój teraz będzie szukał? Tatulo jutro dopiero powróci, a Krasulę tymczasem wilki w lesie zjedzą.

NASTKA (wybuchając płaczem). O rety! moja Krasula! tyłam jój się nahodowała, może jój już nigdy trawy nie przyniosę do doju. Bodajby tego starego jegomości nigdy moje oczy nie były oglądały.

PIOTROWA. E, tego znowu nie gadaj, dobrze płaci, a i nie grymaśny; jak się w te kości zapatrzy, to i strawy zapomni. Żeby to mój miał taką naturę do patrzenia na bok,

jak przed misą siądzie, toby nie widział, że skwarków za mało... Ach co bieda to bieda, teraz już i kapki mléka nie będzie na okrasę.

NASTKA (przysłuchując się). Matusiu! Coś tam kołaczce przed domem, może to nasze bydłatko.

## SCENA II.

PIOTROWA, NASTKA, PANI ZARZYCKA.

*(Pani Zarzycka zmęczona, z torbą i koszem w ręku, siada ciężko na ławce).*

PANI ZARZYCKA. Oj te góry! te góry! Już ledwo żyję! (do Piotrowej) Pozwólcie, gospodsiu, że tu chwilę spocznę.

PIOTROWA. Niechże sobie też Wielmożna pani pofolguje, ja przecie tego nauczna, goście tu do mnie często w lecie zachodzą.

PANI ZARZYCKA. Doprawdy? A tom może dobrze trafiła z moim kłopotem; nie widzieliście tu dwóch młodych studentów?

NASTKA. E, stary to jest, ale jeden.

PANI ZARZYCKA. Co mi tam do starego, mam dosyć swego pana. Wziął na stancyą dwóch urwisów, ale to tym tylko psoty w głowie. Drapnęli mi wczorajszego rana, i niemał Pytam na wszystkie strony, aż mi Szmul powiedział, że się tu do Ojcowy wybrali. A co tu powiedzić rodzicom, jak się nie znajdują.

NASTKA. To rychtyk jak z naszą Krasulą, wczoraj o tej godzinie jeszcze była w oborze.

PIOTROWA. A to zbereźniki!

PANI ZARZYCKA. I to wszystko będzie na mnie. Pana profesora nie było w domu, pojechał do Warszawy za interesami. Abo to byłby ich upilnował, jemu pantelonogia w głowie. Już chwala Bogu dwadzieścia lat się kończy na Ś-ty Jan, jak domem jego zarządzam, to mi ta nauka kością w gardle stoi, choć pan dobry, nie mogę powiedzić, drugiego takiego ze świecąby nie znalazł. Ale ja tu szukać muszę tych chłopaków. Daleko to ztąd do hotelu?

PIOTROWA. Niedaleczko. Albo to Wielmożna pani w hotelu myśli nocować?

PANI ZARZYCKA. Pytać się muszę o tych nicponiów. Już nóg nie czuję.

PIOTROWA. Niebożatko! bo też to i wiekwa jęjmość.

PANI ZARZYCKA (obrażona). No, znowu nie tak bardzo (zaczyna się żwawo ruszać, zabierając koszyk i torbę).

PIOTROWA. A może Wielmożna pani potem do mnie wróci, to się ustąpię, jest kawa, są świece, co je mój kupił w księgarni w Skale. (na stronie do Nastki). Ona też będzie płacić.

P. ZARZYCKA. Wiecie co, gosposiu, to mi się podoba. (na stronie) Mam posiłteczek w koszu, to nic nie zapłacę. (do Piotrowej i Nastki) bardzo gościnne jesteście, wróć, wróć. Bywajcie zdrowe (Nastka odstawia koszyk po za drzwi alkierza). (P. Zarzycka odchodzi i wraca) A słuchajcie no, jakby tu zaszyły te urwisy, to ich zatrzymajcie dopóki nie wróć, tylko nie mówcie, że ja tu byłam, gospodyni pana profesora; toby zaraz czmychnęło.

PIOTROWA. Już ja to rozumiem dokumentnie, tak niby trzeba coś udawać.

PANI ZARZYCKA. Tak, tak, udawać. (wychodzi za drzwi i wraca) Ale czy ja trafię?

PIOTROWA. Ścieżkami bliżutko; tylko trzeba iść nie tą, co do Skaty; a potem k'sobie, ale nie tą, co do Leśniczówki, a potem...

P. ZARZYCKA (przerywając). Oj, nie trafię nigdy!

PIOTROWA (biorąc chustkę). To ja Wielmożną panią poprowadzę. (do Nastki) Spytam o Krasulę u sąsiadów, a ty mi tu pilnuj domu. (Pani Zarzycka i Piotrowa odchodzą).

### S C E N A III.

NASTKA sama, później BIBUŁKIEWICZ.

NASTKA (siada na skrzynce i duma). Jak też to na świecie Pan Bóg razem złe i dobre na człowieka zsyła! Krasula przepadła, to frasunek nie lada, ale znowu—ten odpust w Niedzielę... Oka dziś w nocy nie zmrużę, tyle myśli na głowie! Bo też odpust będzie cudowny, a i ciżba straszna, bo narodu tyła się wybiera!... Od tego pana starego (wskazuje na wyjście alkierza) dostałam dwa złote, bo mu posługuję. Dla chrześnej wartoby przynieść upominek, Marysi Wojtkowej paciorków się zażądało. I obrazek przydałby się na ścianę nad moje łóżko, bo ten, co wisi, tak muchy

niecnoty zepstrzyły, zem na śmierć zapomniała, jaki tam święty stoi. Ej, przypatrzę się jeszcze mojej pięknej spodnicy. (zagląda do skrzynki i wyjmuje spodnicę w czerwone pasy).

### S C E N A IV.

NASTKA, PAN BIBUŁKIEWICZ.

PAN BIBUŁKIEWICZ (wychodzi z komory przecierając oczy). A tom zasnął haniebnie! Słońce już tak wysoko... Coś mi się marzyło... jakiś głos znany... brrrr... Jak się to wykryje, to będzie złe... Ale nauka, to moje życie! (Idzie do kupki kamieni w kącie i wydobywa krzemień). Moja siekierka! A co, Naściu, czy nie śliczna?

NASTKA (patrzac z miłością na spodnicę). Oj śliczności! drugiej takiej nie znajdzie.

P. BIBUŁKIEWICZ. Złote dziecko! Nie znajdzie, jak ona rozumie jaką to ma wartość.

NASTKA. Oj, co kosztuje to kosztuje, blisko siedm złotych.

P. BIBUŁKIEWICZ. A jakie to stare! Cztery tysiące lat.

NASTKA (przerywając oburzona). Ale gdzie tam, nowiusienka, jeszcze nawet nie skończona.

P. BIBUŁKIEWICZ. Jest racya, z téj strony czegoś brakuje.

NASTKA. Tylko dwóch haftek.

P. BIBUŁKIEWICZ. Jakich haftek? (ogłada się) o sancta simplicitas! Ja myślałem, że ona o siekierce mówi, a ona jakimś gałgankiem zajęta. Duch śpi, trzeba go rozbudzić. (Nastka tymczasem, schowawszy do skrzynki spodnicę staje zamyślona). Naściu, czy ty czasem myślisz o tém, co się dawniej na świecie działo?

NASTKA. Dawniej, może ludzie nie mieli frasunków...

P. BIBUŁKIEWICZ. Lepiej było, ludzi nie było! Świat był pełen zwierząt wielkich, strasznych, co się pożerały...

NASTKA. Pewnikiem wilki.

P. BIBUŁKIEWICZ. No, były i wilki, (wpadając w zapał) ale ja mówię o tych mamutach, ichtyozaurach, mastodontach, co morza i jaskinie zapełniały, legły tam, i pozostawiły swe kości; lecz żyją w mojej myśli, wczoraj wchodząc do jaskini zdawało mi się, że słyszę ryk przeciągły...

NASTKA (z radością). A to pewno Krasula, bo ona tak rzewliwie ryczy.

P. BIBULKIEWICZ. Co? Krasula? Niéma co z nią gadać. Idźmy do roboty.

NASTKA (ciekawie). Ale gdzie to tak ryczało?

P. BIBULKIEWICZ (porywając kosz i rydel). W twojej głowie zaryczało. (wychodzi).

## S C E N A V.

NASTKA (sama).

Chyba w jego głowie. (patrzy przez okno) O! jak to leci, gdyby oparzony, już go ani widno i bez śniadania leci. Matusia prawdę mówią, że to rzadki gość. Ale dobrze rzekł, trzeba iść do roboty, ja też do ogrodu pośpieszę. (wychodzi jednemi drzwiami, drugimi wchodzi Piotrowa z Kaziem i Franiem).

## S C E N A VI.

PIOTROWA, KAZIO, FRANIO.

(Frano, z fuzyą przewieszoną przez plecy i dwoma wróblami u pasa).

PIOTROWA. Niechże Wielmożni panowie wnijdą do mnie, do Pieskowej Skały jeszcze kawał drogi.

KAZIO (trącając Frania i prostując się). Słyszysz? Wielmożni panowie... musimy jako tako wyglądać.

PIOTROWA (na stronie). Przecie namówiłam ptaszków do klatki.

FRANIO (zadowolony). Ba, to nie tak jak w Pińczowie, kawaler, jakaś sprytna kobiecina.

KAZIO (siadając i zakładając nogi). No, moja kobieto, możemy tu spocząć chwilę, ale dajcie nam co pić.

PIOTROWA. Zaraz panom wody świeżutkięj przyniosę.

FRANIO (napuszony). My nie dzieci, żeby wodę spijać; piwo, to co innego.

KAZIO. Jabym wolał wódkę.

PIOTROWA. Wódki mój nie pije, bo się zarzekł.

KAZIO. Cóż z tego, ja się nie zarzekłem.

PIOTROWA. Ale bo niéma w domu. (bierze dzbanek z kąta) A, Naścia już przyniosła

wody, doskonała, z Prądnika. (stawia ze szklanką na stole).

FRANIO. Tak mi się pić chce, że się już napiję.

KAZIO. Wstydź się, ja ani myślę, dostaniemy piwa w Skale.

PIOTROWA. Ale gdzieby Wielmożni panowie chodzili; ino patrzeć jak deszcz lunie, o, jak się to chmurzy.

FRANIO. Cóż znowu, dla nas deszcz to nic.

PIOTROWA. Ale może fuzyjka zamoknie.

FRANIO (patrzac w okno). To ma racya; już jeden tylko ładunek, jak zamoknie...

FRANIO (patrzac w okno). Już kapie.

PIOTROWA. Kapie, kapie, a ja mówię będzie lać, bo to zawsze tak z téj strony.

KAZIO. Wiesz co, może lepiej przeczekać.

PIOTROWA. Ale przeczekać trzeba, ja duchem polecę po piwo do sąsiada (na stronie); trzeba pójść po tę jejmość, bo ja ich tu długo nie utrzymam. (wychodzi).

## S C E N A VII.

KAZIO, FRANIO.

KAZIO. Może i ja się napiję. (wychyla resztę wody).

FRANIO. Wiesz, że mnie tak ramię boli od téj fuzyi.

KAZIO. To powieś na gwoździu, ale dobrze, żeśmy ją wzięli, zawsze to człowiek lepiej z bronią wygląda.

FRANIO. A jak ślicznie urznąłem te dwa wróble (pokazuje na wróble wiszące u pasa. Kazio pewny siebie siada na kuferku i podpierając się na łokciu najeża czuprynę).

KAZIO. A co, przyznaj, kapitalnie się udało! nieporównanie! Wymknęliśmy się tak zgrabnie, że nas nawet nie spostrzegł bury kot, ulubieniec pani Zarzyckięj.

FRANIO. Wyznam jednakże, że mi strach było zdejmować z kołka fuzyą profesora, żeby nie wypaliła, mogłaby się stać awantura; choć przecież nie pierwszy raz mam w ręku dubeltówkę, wszak nieraz z ojcem bywałem na polowaniu.

KAZIO. Droga z Pińczowa aż dotąd idealnie się udała, czas pyszny, jakby dla nas umyślnie.

FRANIO. Trochę pobłądziliśmy wprawdzie, ależ ludzie są omylni, wreszcie pastuch na czas nas objaśnił, i na to stado wróbla w dodatku naprowadził. (z tryumfem) Dwóch legło trupem, to będzie prezent dla gospodyni. Wypadku żadnego nie było, już to nam tylko podróżować!

KAZIO. Tylko, żem głodny srodze! To nic dziwnego, pani Zarzycka, nie powiem, żeby nas szcudrobliwie karmiła, obiadek pozawczoraj był arcyskromny, do tego wypadły znów nieśmiertelne buraczki, których na szczęście zaczyna przecie brakować w piwnicy, jak mi mówiła kucharka; herbatka wieczorem nie zasyciła dytto, połknęliśmy jak slinkę.

FRANIO. Zapasy na drogę były szczupłe, z zakupionych serdelków i bułek już ani śladu, a spacer jednak był znakomity.

KAZIO. Szmul usłużył slicznie temi trzema rublami, które się wreszcie zdecydował pożyczyc.

FRANIO. Choć nie powiem, żeby mu to było bardzo na rękę, pytał po kilka razy kiedy je odbierze, i czy pan profesor się nie dowie, ale o to niema kłopotu; wszak obadwaj mamy zawsze po dziesięć złotych miesięcznie, na ciastka, owoce, papier, pióra, bez przysmaczków obejść się nic łatwiejszego, to się wnet zaoszczędzi; oddamy czcigodnemu dobroczyńcy z podziękowaniem.

KAZIO. Naturalnie, o tém ani gadania. Ale możeby się tu co znalazło pod ręką na przekąskę; uprzejma gosposia, która nas tak czule zapraszała, wybaczy z całego serca ten wybryk, bo zapłacimy suto. (chodzą rozglądając się).

FRANIO. Nie widzę tu jakoś żadnych wiktuałów, zobaczymy, co się poza temi przymkniętymi drzwiami kryje, (wchodzi do alkierza) łóżko, stołek, koszyk jakiś, a w koszyku? (zagląda do koszyka pani Zarzyckiej). O! radości, kolego! skarby oczywiste, kawał szynki, sera, chleb do pińczowskiego podobny (ogląda chleb i wznosi oczy do góry) lube wspomnienie! Używajmy tych darów, które nam się ukazały, jako Izraelitom spadła z Nieba manna na puszczy, gdy byli w drodze do obiecanej ziemi. (z naciskiem) Funduszów na zapła-

nie nie braknie (bierze nóż leżący na stole, kraje chleb i szynkę, podaje Kaziovi, jedzą z apetytem).  
(d. c. n.)

## KOTY.

Jak spokojnie siedzi sobie ta para kotów na dachu, udają niewiniątka. Jeden drzemie, zapewne nie głodny, drugi przysiadł na tylnych łapkach, oczy wytrzeszczył, widocznie czyha na jakąś biedną ptaszynę, bo szczury i myszy rzadziej na dachach napotkać można. Są dzieci, które bardzo koty lubią, noszą je po rękach, bawią się z niemi, często też mają palce podrapane i pokrwawione, bo zwierzęta te są tak drapieżne, że nawet w najpoufalszych stosunkach przyjaźni mimowoli prawie użyją czasem pazurków. Tak, tak, niepodobna tego utaić, pomimo całej waszej serdeczności dla ukochanych Kiziów i Maciusiów, wiecie o tém dobrze, że te miłe, pieścotliwe stworzenia należą do rodziny najstraszliwszych w świecie drapieżników, są bardzo blisko spokrewnione z tygrysami, lwami, panterami, lampartami, jaguarami i t. d. trzeba też przyznać, że wrodzonym usposobieniem i obyczajami wcale się nie wyróżniają od tych potężniejszych swoich krewniaków. Jak tygrys rzuca się na jelenia lub bawoła, tak zupełnie ten kotek, skromnie skulony na dachu, rzuci się za chwilę na biednego wróbelka lub skowronka i trudno mu to mieć za złe, bo takie jest widocznie jego przeznaczenie. Kot znakomicie jest uzbrojony do swojego polowania; oczy ma tak urządzone, że źrenica rozszerza się w ciemności i przy najśłabszych promyczkach światła widzi doskonale, zęby ostre i silne chrupią nawet twarde kości, jak sucharki, ale nade wszystko pazury kotów są osobliwe. Przypatrzcie im się zbliżka, korzystając z grzecznego usposobienia Maciusia, a zawsze radzę wam ostrożność zachować. Póki kotek spokojny i niema żadnych złych zamiarów, pazurki jego są ściągnięte i miękką podusz-

czką otulone, stąpa też sobie cichutko, nigdy śladu pazurów nie zostawia na piasku, bo niemi nie dotyka ziemi i nie stępia ich nigdy. Ale niechże się rozgniewa, lub spojrzy pożądliwie na jakie biedne stworzenie, oho! zaraz ścięgną się podnoszą i ostre pazury wydłużają, a wtenczas biada nieostrożnej myszce, biada i paluszkom waszym.

Ale nie będziemy wam więcej prawić o drapieżnych zwyczajach kotów, aż nadto dobrze znanych, lepiej opowiemy w krótkości szczegóły historyczne o ich pochodzeniu i losach wśród towarzystwa ludzkiego, bo koty mają także swoją historią i to nawet bardzo starożytną; jeszcze w dawnym Egipcie były utrzymywane, jako zwierzęta domowe i ztamtąd przeszły do innych narodów. Egipcyanie, którzy czcili rozmaite zwierzęta, kotom także cześć oddawali. Za zabójstwo kota karano tam ludzi śmiercią; a gdy raz wydarzyło się, że pewien Rzymianin, nie wiedząc o tém, zabił to święte zwierzę, lud oburzony zamordował go natychmiast, pomimo oporu króla Ptolemeusza, który się niezmiernie Rzymian obawiał. Szczątki kotów balsamowano i składano w grobach okazałych.

W dawniejszych czasach nieznano kotów w Europie, ani u Greków, ani u Rzymian; myszy jednak strasznie wówczas dokuczały ludziom, nieraz rozmnażały się do tego stopnia, że je za prawdziwą klęskę uważano. W starożytnych opisach są czasem wzmianki o takich nieszczęśliwych okolicach, których mieszkańcy musieli wywędrować z powodu niezmiernej ilości myszy. Szukano więc sposobów pozbycia się tych szkodników i trzymano po domach różne małe drapieżne zwierzątka, a najczęściej łasiczki. W dawnych bajkach zwykle przedstawiona bywa łasica w walce z myszą tak, jak teraz kot. Nawet w wykopaliskach Pompei, pochodzących z czasów późniejszych, bo już z pierwszych lat ery chrześcijańskiej, nie znaleziono jeszcze kotów obok innych zwierząt domowych. Tymczasem jednocześnie prawie z najściem różnych hord barbarzyńskich, owych strasznych Hunnów i innych plemion azjatyckich, nawiedziła Europę nowa plaga. Nieznane przedtém szczury przy-

wędrowały z Azyi, zapewne w ślad za taborem koczujących ludzi. Wkrótce później i koty zaczęły się rozpowszechniać we Włoszech i w innych krajach europejskich, gdyż coraz częstsze o nich wzmianki spotykają się w różnych opisach ówczesnych. Może być bardzo, że szczury, daleko groźniejsze od myszy, skłoniły ludzi do szukania skutecznej obrony w kotach i dla tego je z Egiptu sprowadzono. Teraz niema okolicy, niema domu, gdziebyśmy kotów nie spotkali, a zawsze trzymane są głównie poto, ażeby tępiły myszy. Można wnosić z dawnych kronik angielskich, że zwierzęta te w X stuleciu jeszcze nie były wcale rozpowszechnione, gdyż ceniono je bardzo wysoko. Cena młodego kociątka w Anglii wyznaczona była w ustawach krajowych, a po schwytaniu pierwszej myszki podwajała się. Kto skradł lub zabił kota u sąsiada, musiał za niego oddać owcę z jagnięciem lub odmierzyć mu taką ilość zboża, któraby przykryła całego kota z ogonem.

Trzeba przyznać, że kot nie używa zbyt dobrej reputacji pomiędzy ludźmi; nazywają go chytrym, podstępny, zapominając o tém, że gdyby działał otwarcie i nie umiał się tak zręcznie zacząć, nigdyby pewnie ani jednej myszki nie ułowił. Powiadają także, iż kot wcale się do człowieka nie przywiązuje, tylko do mieszkania, ale to zarzut niesłuszny; jeżeli koty trzymają się domu, nie zważając na zmianę jego mieszkańców, to tylko wtedy, kiedy ci mieszkańcy wcale się niemi nie zajmują. Często bardzo zwierzęta te przywiązują się do pana lub pani tak samo, jak i psy i nie chcą się z niemi rozstać. Brehm przywodzi bardzo wiele przykładów roztropności i poczciwości kotów, które przez przywiązanie dla swoich opiekunów umiały nawet wrodzone drapieżne usposobienie przezwyciężyć. Widział on nieraz, jak koty żyły w najściślejszej przyjaźni z ptaszkami, bawiąc się z niemi, nosząc je w pyszczku i pilnując, żeby się z pokoju nie wymknęły. Zdarzyło się między innymi w obecności Brehma, że taki poczciwy kot przyniósł swojemu panu szczygła, który był uciekł z klatki przed kilku dniami. Rozumie się, że przyniósł go żywego, nie uszko-

dziwszy wcale, chociaż prawdopodobnie natrafił na niego polując gdzieś na inne ptaszki. Do przymiotów kota należy też policzyć wielkie jego zamiłowanie czystości; każdy od dzieciństwa już przez matkę przyuczony bywa do tego i nieustannie się myje, wylizuje i wygładza.

Rozrzewniająca jest miłość macierzyńska kotki; widzieliście nieraz zapewne pieszcoty jej z małemi kociętami, których najmilszą zabawką jest zazwyczaj ogon matki; skubią go, ciągną na wszystkie strony, potem zaczynają chwycić także własne ogonki, widocznie nie pojmują jeszcze, że to jest część ich własnego ciała. Ale co jest najdziwniejsze, kotka, mająca małe kocięta, gotowa jest kochać wszelkie młodziutkiestworzenia, nawet najzawziętszych swoich nieprzyjaciół. Tenże sam Brehm opowiada, jak raz włożył pomiędzy kocięta młodą wiewióreczkę; kotka wcale się za to nie gniewała, ale karmiła własnym mlekiem to podrzucone dziecko, wychowała je razem z własnemi, a nawet dłużej i troskliwiej się niem zajmowała, bo kiedy kociątka podrosły i odbiegały już częścię od matki, ona się ciągle wodziła z wiewióreczką, która się do niej przywiązała, jak do rodzonej matki. Zdarzało się nawet, że kotki, utraciwszy jakimś wypadkiem własne dzieci, karmiły małe szczury i myszy, nie czyniąc im najmniejszej krzywdy, ale przeciwnie otaczając największą troskliwością i czułością.

O roztropności i zmysłności kotów możnaby także przytoczyć mnóstwo ciekawych i zabawnych anegdot. Opowiadano nam naprzykład niedawno, jak w pewnym szpitalu warszawskim, chory poskarżył się Siostrze Miłosierdzia, że mu kot codziennie wypija mléko zalecone przez lekarza. Siostra, chcąc go uchronić od psotnika, przyniosła mu mléko w dzbanuszkach o wązkiej szyjce; nigdybyście nie zgadli jaki dowcipny sposób obmyślił nasz kot, żeby się po cichutku dostać do ulubionego przysmaku. Inny byłby może dzbanuszek wywrócił, ale złapanoby go pewnie na uczynku i ukarano przykładowie. Szpitalny kotek inaczej sobie poradził; usiadł na tylnych łapkach zasłaniając sobą dzbanek, a przednią łapę cichaczem maczał w mleku i oblizywał, póki

wszystkiego nie wyjadł. Udała mu się zrazu sztuka, a gdy chory znów się poskarżył, że mleka niema, Siostra nie mogła pojąć, gdzie się podziało; ale w końcu złapała kota na uczynku. Możecie sobie wyobrazić, jak się uśmieła z tego dowcipnego pomysłu, niemniej jednak sprawiedliwość musiała być spełnioną, a winny nie uniknął zasłużonej kary.

W Afryce północnej, zwłaszcza w Nubii, żyją dotąd w puszczech dzikie koty, od których pochodzą domowe. Daremnie jednak próbowano je przyswoić, zawsze uciekają od człowieka, gdy podrosną. Egipcyanie musieli z wielką cierpliwością i wytrwałością hodować drapieżne te zwierzęta przez wiele pokoleń, nim nakoniec udało im się przewyciężyć wrodzoną ich dzikość i zamienić je w spokojne i pieszczośliwe koty domowe. W niektórych krajach europejskich, zwłaszcza w górach, między innymi i w Karpatach, żyją po lasach koty dzikie, żbikami zwane, znacznie większe i silniejsze od domowych. Dawniej wyobrażano sobie, że nasze oswojone koty od nich pochodzą, ale Brehm i inni znakomici naturalisci stanowczo temu zaprzeczają, dowodząc, że przyswojenie tych drapieżnych zwierzątek zawdzięczamy wyłącznie Egipcyanom. I w Azji także przebywa w skalistych okolicach Mongolii odmienny nieco gatunek dzikich kotów; tylko w Ameryce i Australii niema ich wcale.

M. J. Z.

## MOJA PIESZCZOTKA.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

Teresę-Jadwigę.

(Dokończenie)

Już szary świt ukazywał się na niebie, już księżyc pobladł przed słońcem zapowiadającym swe przyjsie, gdy na dziedzińcu zam-

kowym zatętniało, zahuczało; wypadła z izby Irenka:

— Jesteście wreszcie—zawołała—zatrzymawszy się na ganku.

— Jesteśmy, pieszcotko—odparł kasztelan, który jechał przodem—a patrz, co za łup ci wieziemy, to wszystko twoi niewolnicy.

Dziewczę spojrzało przerażone: za ojcem postępowali rycerze, zbrojni towarzysze kasztelana, a każdy wiódł z sobą straszego

— Et co mi tam pleciesz, dziewczyno, czy chcesz, by dalej szerzyli rabunki?

— Kazałabym im przysiądz, że się poprawią — odparło dziewczę.

Pan Zawistowski pogłaskał ciemną głowę jedynaczki.

— Niechaj tę przysięgę uczynią królowi—rzekł, poczem obrócił się do Michała:

— Weź dziesięciu ludzi dobrze uzbrojonych ze sobą i razem z nimi odwieź jeńców



Wzór do rysunku.

jeńca o spojrzeniu ponurém. Jeńcy mieli popętane ręce z tyłu, powrozami przywiązani byli do sodek; za jeńcami szła służba, na jej czele Michał z miną tryumfującą.

Kasztelan zsiadł z konia i ku córce postąpił, ona podbiegła do niego.

— Ojczy, każ tych ludzi odprowadzić—zawołała—ja patrzeć na nich nie mogę. Gdyby można, kazałabym puścić ich wolno.

Rozśmiał się kasztelan.

do miasta; niechaj król czyni z nimi co chce.

Michał skłonił się panu do nóg i skinął na swą załogę.

Tymczasem kasztelan podążył z córką do izby, rycerzy, którzy z koni posiadali, prosząc za sobą.

Śniadanie już było gotowe, wysmienity barszcz z rurą, więc pozrzucawszy zbroje, wszyscy siedli do stołu.

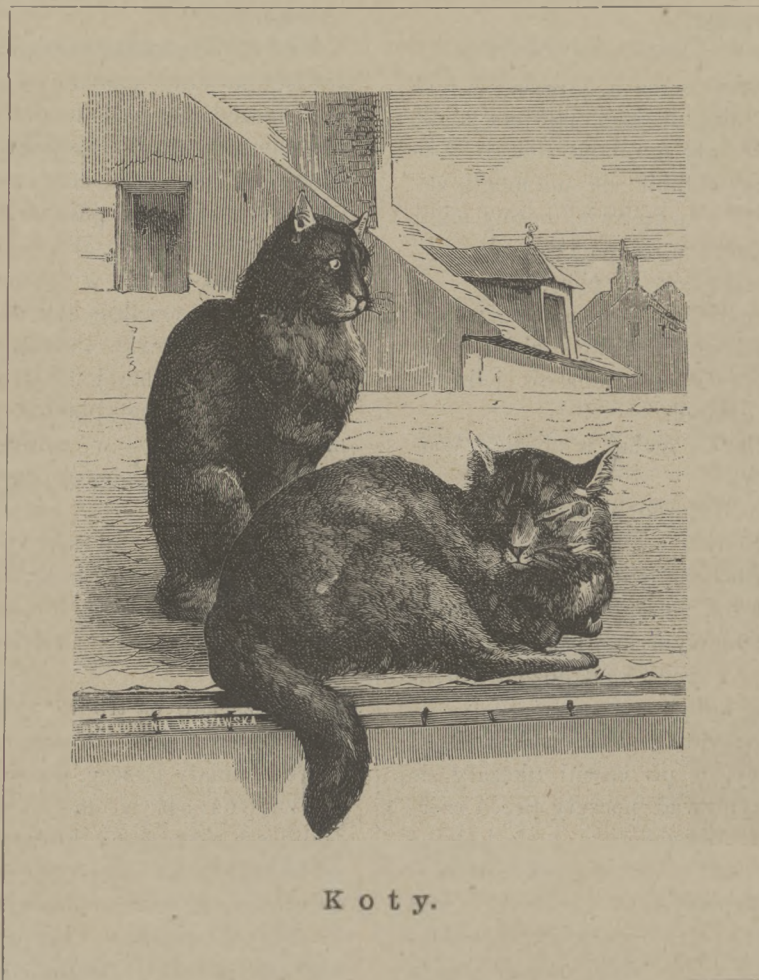
— Wiesz, pieszcotko, jak postanowiłem



nagrodzić twoją odwagę—rzekł kasztelan, posiliwszy się nieco.—Oto powiozę cię do Krakowa na spotkanie wracających hufców; hetman miał się zatrzymać we Lwowie parę dni, zdążymy jeszcze.

Zarumieniała się Irenka z radości, pochyliła do ręki ojca z pocałunkiem, on rozśmiał się wesoło.

dziestu stopni, trudno było oddychać, taki skwar, taki upał panowały na dworze, a jednak rynek krakowski pełen był ludu. Po twarzach tłumów spływały krople potu, a jednak coraz ich więcej napływało. Miasto obchodzi jakieś święto, to rzecz widoczna, bo kamienice otaczające rynek w wieńce postrojone, na ścianach domów, na balkonach wi-



K o t y.

— Wszakże pozwolicie, matko, pojechać dziewczęciu? — zapytał, zwracając się do żony.

— Z wami, choćby i na koniec świata— odparła kasztelanowa.

\*

\*

Słońce wskazywało południe, paliło do niewytrzymania, gorąco dochodziło do trzy-

dać cyfry, ze świeżych kwiatów uwite, a wszędzie jedne i te same, wszędzie J. i T. jaśnieje. Tłok na rynku, a w pośrodku tego tłoku widać sukno czerwone, na niem tron złocisty Piastów, w okół ławy i krzesła.

Tłumy kołyszają się jak fale na morzu i szepeją coś o uroczystości.

— Dzielnym to mężem z naszego hetmana—

mówi barezysty szlachcic, strojny w karmazyny, do swego sąsiada w szaraczkowym kontuszu—z czterema tysiącami pobić nieprzyjaciela, który 20,000 tysięcy przyprowadził, to trzeba mieć i ramię dzielne i głowę nieładą.

— Wieki upłyną, a o bitwie Obertyńskiej z dumą opowiadać będą Polacy—odpowiada tamten.

— Chłuba to dla nas nieładą, żeśmy należeli do tej wyprawy.

— A przecież, gdyby pan Zawistowski uległ był pokusie serca i powrócił z pod Obertyna do domu, nie czekając bitwy, jak to chciał uczynić, gdy mu dano znać o Kafunku, mybyśmy chlubić się nie mogli, żeśmy brali udział w wyprawie, bośmy mieli zamiar za nim podążyć—odparł towarzysz.

Tamten zwiesił głowę na piersi.

— Prawda, prawda—mruknął.—Kto wie nawet, czy naród obchodziłby dzisiaj takie wielkie święto; nieposłuszeństwo jednych pociągnęłoby i drugich.

— I wszcząłby się nieład w obozie i Wołochby zwyciężył.

— A coście o Kafunku słyszeli?

-- Że schwytyany.

— Bogu niech będą dzięki.

— Lecz jadą już pono.—To mówiąc szlachcic w karmazynowym kontuszu wspiął się na palce i głowę zwrócił ku drodze utworzonej przez szereg ludu.

Nie mylił się: Zdala dolatywał turkot i tumany kurzawy, a po chwili ukazały się kolasy i zatrzymywać zaczęły przed czerwonym sukmem. Wsiadali z nich kolejno panowie, panie, szli między ławy i zajmowali je. Wtém karmazynowy jegomość trącił sąsiada łokciem i palcem wskazawszy na idącego właśnie ku ławie jakiegoś poważnego pana w paradnym kontuszu z młodziutką dziewczeczką, szepnął:

— Kasztelan Zawistowski z córką; dzielna to dziewczyna, rozpowiem wam potem o niej:

— Widzę, widzę.

— Teraz pan Pożarski idzie z synem, czy i tego znacie?—zapytał tamten.

— Nie, bo ten nie był na wyprawie, ale syna widziałem przecież pod Obertynem; toż

on jak i my we Lwowie nie bawiąc do domu pospieszał, a teraz tu jako widz będzie, nie jako aktor.

— Tak wielu zrobiło, hetman pozwolił przecież czynić, jak kto zechce.

Nowy turkot odwrócił uwagę mówiących od kasztelana i wojewody.

— Król jedzie—rzekli obaj jednocześnie, a tłumy wołać zaczęły:

— Niech żyje Zygmunt, niech żyje pan nasz miłościwy!

Na rynku ukazała się kolasa królewska, złocista, świetna, panami na koniach otoczona, poprzedzona pacholeętami, które pędziły na małych konikach. Zeskoczywszy z siodła, oddawszy konie tym, co na rynku porządku pilnowali, chłopcy poskoczyli do kolasy i otworzyli drzwiczki. Wtędy ukazał się król w całym majestacie, w płaszczu gronostajami podbitym, w sukni aksamitnej, w czapce złocistej na głowie. Poważnym, dostojnym krokiem minął plac i ku tronowi postąpił; pacholeta ujęły jego płaszcz, panowie szli za nim i obok niego w pełnym uszanowaniu oddaleniu; ci, co pierwiej przybyli, z ław powstali.

— Ojcie, jak mi serce drży—szepnęła Irenka—ja pierwszy raz króla widzę.

Uśmiechnął się kasztelan, lecz położywszy palec na ustach, dał znak dziewczeczce, by milczała.

Król zasiadł na tronie, skinieniem głowy powitał zebranych, tłumom za ich okrzyki, które brzmiały jeszcze, podziękował.

I znowu coś w dali zatętniało, znowu podniosły się tumany kurzawy, a po za nimi ukazały się teraz całe szeregi zbrojne, świecące, ale jeszcze niewyraźne. Tłum domyślił się wszakże, kto jedzie, bo znowu krzyczeń zaczął, tylko imienia króla już nie wywoływał.

— Niech żyje Jan Tarnowski, niech żyje bohater z pod Obertyna!—wołano.

Poza obłokami kurzawy, zdala widziany oddział wyłonił się powoli. Przodem na gniadym koniu jechał mąż pięknej postawy, w stroju rycerskim, z wieńcem dębowym na siwej głowie; tuż za nim postępowali jacyś panowie w strojach obcych, ale bogatych, poważnych, chmurni, posępni; byli to bojaro-

wie wołoscy do niewoli pobrani; za nimi dzielne rumaki ciągnęły 50 dział zdobytych pod Obertynem, potem widać było 30 chorągwi, także na wrogu wziętych, które dźwigały pachołcy hetmańscy, za tymi dopiero rycerstwo polskie i litewskie postępowało. Tłum szalał, czapki w górę podlatywały, radosne głosy brzmiały w powietrzu, a hetman zbliżał się zwolna do środka rynku. Nareszcie dotarł do sukna czerwonego, zsiadł z konia i pieszo postąpił dalej; za nim weszli bojarowie wołoscy i pachołcy z chorągwiami, oraz włożono działa, rycerstwo stanęło u wnijscia.

Hetman, zbliżywszy się do tronu, złożył ukłon głęboki królowi, bojarowie padli twarzą do ziemi, pachołcy chorągwie pochylili, zatrzymały się działa.

— U stóp twych, N. Panie, składam zdobycze wojenne—odezwał się drżącym od wzruszenia głosem hetman.—Niechaj świadczą ci one, że wiernie służyłem ojczyźnie.

Król podniósł się z tronu, postąpił ku wozdowi, wyciągnął ramiona i uściśnął zasłużonego męża, a zebrani krzyknęli:

— Niech żyje Jan z Tarnowa!

— Niech żyje król Zygmunt! — jednocześnie wesole, radosne głosy dzwonu Zygmuntońskiego zadrgały w powietrzu.

I długo brzmiały jeszcze okrzyki i głosy dzwonu, już król zabrawszy do swój kolasy hetmana oddalił się, już i panowie, powiadawszy z bojarami wołoskimi do swoich pojazdów, za nimi podążyli, lud jeszcze krzyczał, dzwon jeszcze dźwięczał. Szydłowiecki, podskarbi królewski, rozrzucał pieniądze między lud, lud wyciągał chciwie ręce po złoto i głośniej jeszcze krzyczał: „Niech żyje król Zygmunt! niech żyje hetman!“ a orszak królewski śpieszył tymczasem do kościołka Ś-go Stanisława, gdzie zawieszono miały być chorągwie wołoskie.

— Cóż, napatrzyłaś się ciekawych rzeczy, pieszczotko—ozwał się pan Zawistowski, przeciskając się z córką przez hałaśliwe tłumy.

— Póki życia dnia dzisiejszego nie zapomnę—odparła Irenka.

— Kasztelanie! kasztelanie—ozwał się na-

gle jakiś głos donośny.—Ja też wracam do domu.

Kasztelan obrócił się; za nim dążył wojewoda Pożarski z synem; podali sobie dłonie, potem wojewoda zwrócił się do pieszczotki i rękę do niej wyciągnął.

— Kasztelanko — rzekł, pochylając głowę z uszanowaniem przed dziewczęciem — słyshałem o was wiele i wieszam... Teraz nie będę się już spierał z ojcem waszym, nie będę mówił, że mój chłopiec więcej wart; nie ustępujecie mu w odwadze, nie.

Irenka zarumieniła się jak wisienka, a kasztelan rozśmiał się na całe gardło.

— Tak, to zgoda — rzekł i objął w pół sąsiada i uściśnął go, gdy tymczasem wojewodzie zbliżył się z ukłonem do zawstydzonego dziewczęcia i dłoń jej podał wieszając, że tak dzielnie obronę poprowadziła.

— Całe sąsiedztwo nazywa was bohaterką — mówił z uśmiechem.

W kilka chwil potem, wsiadłszy wszyscy czworo do kolasy wojewody, podążyli do domu, a próżny pojazd kasztelana potoczył się za nimi. Jadąc gawędzili o bitwie Obertyńskiej i o Kafunku \*) a w powietrzu drżały okrzyki ludu, który zubożony rozdaniami pieniędzmi z rozkazu króla, wracał ucieszony do domu.

(\*) Rozbójnicy: Kafunk, Minkwic, Opeł, Sirtan, Flunk, długi czas rozpościerali w kraju naszym rabunki, otrzymawszy zamek Niedziedzę, z kąd wycieczki czynili; w końcu jednakże uwolniono od nich miasta i wioski. Potem, jak pisze Marcin Bielski: Kafunka pojmano i upieczono na żelaznym koniu, drudzy się rozbieżyli, tylko sam Minkwic został na zamku Niedziedzy, pod którym zasię chłop Łękawa Wołoszyn wziął ten zamek i sprzedał go Jarosłowi Łaskiemu. Chciał go potem Minkwic dobywać, ale Łaski pojmał mu knechty i nie wypuścił, aż przysięgali nigdy bronią nie podnosić na Polaki.

## KONIK ZWIERZYNIECKI.

Pod tą nazwą mieszkańcy Krakowa obchodzą w oktawę Bożego Ciała obrzęd szczególny, który ma być pamiątką z drugiej połowy XIII wieku. O tym Koniku Zwierzynieckim opowiada K. Wł. Wojcicki co następuje:

Dawne podanie, przechowane pomiędzy *Włóczkami* krakowskimi, czyli flisami, trudniącymi się splawem na Wiśle, głosi, że za panowania Leszka Czarnego, około r. 1281, Tatarzy po raz trzeci grasując w Polsce, podsunęli się pod Kraków, który już za Bolesława Wstydlivego dwakroć ogniem i mieczem spustoszyli. Właśnie podczas procesyi Bożego Ciała dano znać do miasta, że znaczny oddział téj dziczy rozpostarł mord i gwałty na przedmieściu *Zwierzynca*. Chwilowa trwoga rzuciła popłoch, rozpacz i zwątpienie; w tém jeden z *Włóczków Zwierzynieckich* porywa za chorągiew swego zgromadzenia i krzyknawszy na swoich:

— Za mną, bracia! uderzmy na tych zbójców, gińmy, a nie dozwólmy im bezkarnie niszczyć naszego miasta.

Mowa ta zapal powszechny budzi, lud łączy się z nim i z jego *Włóczkami*, uderzają na pohańców, łamią i rozpraszają, zaścielając gęsto ulice i pola ich trupami. Dzielny przywódzca, który natchnął taką odwagą lud zebrany na procesyą, przybrany w ubiór wodza tatarskiego, z tryumfem prowadzony był do miasta i witany okrzykami radości w tém samém prawie miejscu, przy *Wiślnój* niegdyś bramie, gdzie się i dzisiaj *Konik Zwierzyniecki* łączy z powracającą procesyą *Włóczków*.

Jak tylko procesya ze starożytnego kościoła Panny Maryi po mieście się ukończy, mieszkańcy Krakowa tłumnie pośpieszają na rozległą równinę za pałacem biskupów krakowskich, przez Bracką, Wiślaną i Franciszkańską ulicę, aby uprzedzić zgromadzenie *Włóczków*, idące krokiem wolnym, poważnym i w porządku, stosownie do przyjętego zwyczaju. Po chwili ukazuje się od strony *Zwierzynca* oczekiwany *Konik* ze swoim od-

dzielnym orszakiem, postępujący także z wolna na przyjęcie bractwa, z którym niebawem się łączy i zajeżdża przed okna pałacu biskupiego, dla złożenia mu czci należnej przez trzykrotny pokłon chorągwią.

*Konikiem Zwierzynieckim* jest wybrany po temu jeden z *Włóczków*, przystrojony po tatarsku, w zawoju i żółtych butach, z wielką buławą w rękę, udający harce na posuwistym rumaku, w istocie zaś pieszo kroczy na wspaniale przybranym koniku drewnianym, przy odgłosie muzyki, trąb i kotłów. Za każdym podskokiem, w którąkolwiek stronę, zamieszanie sprawia wśród tłumu, a ciekawsi włożą na dachy, parkany, mury i drzewa, by się konikowi dobrze przypatrzeć mogli. Wrzawa i popłoch znamionują ręce jego obroty i podskoki na wszystkie strony. Po kilku takich rzutach w zebrane tłumy, bijąc buławą, której gałka sierścią wypchana szkodliwych razów zadawać nie może, łączy się konik napowrót z *Włóczkami* i na ich czele z powagą wodza jedzie na przedmieście *Zwierzynca* i na uciecie skromnej a wesołej kończy się cały ten obrzęd. W pośród téj tryumfalnej przejażdżki *Konika*, każdy wedle możności daje mu pieniądze, które właśnie służą do opłacenia kosztów uczyt ogólnej dla *Włóczków*.

## PRZYGODY

### NIEUSTRASZONYCH PODRÓŻNIKÓW

#### W PUSZCZACH AFRYKAŃSKICH.

(*Dalszy ciąg*).

Dwaj oficerowie odeszli, a kapitan zwrócił się do Dawisa:

— Możesz odejść, moje dziecko, musisz być znużony.

— Nie powiedziałem jeszcze wszystkiego, kapitanie— odrzekł młody porucznik i opowiedział szczegółowo, jaką miał przeprawę

z dwoma pasażerami, jak ich na uczynku pochwylił i zniweczył zdradzieckie zamiary. Słuchając tego opowiadania, kapitan wpadł w gniew szalony i w pierwszej chwili chciał przywołać majtków i wydać rozkaz, aby natychmiast uwiązali dwom zdrajcom kule do nóg i na dno morza ich wrzucili. Gdyby porucznik był słówko pisał w ich obronie, wyrok ten byłby niezawodnie wykonany, ale Dawis nie pragnął śmierci swoich więźniów nie sprzeciwiał się więc kapitanowi, wiedząc, że tym sposobem przyspieszyłyby tylko ich zgubę. Kapitan kłął i wykrzykiwał, pieniąc się ze złości, że się okropnie zemści, powoli jednak ucichł i zaczął się złośliwie uśmiechać; nowa myśl przyszła mu do głowy.

— Słuchaj, Dawisie—rzekł—pójdźno zobacz, czy to bydlę, ten Gobi jeszcze się na śmierć nie zapil? czy nie możnaby z nim małego handelku załatwić? A co zrobiłeś z temi dwoma ptaszkami?

— Kazałem ich tymczasem okuć w kajdany.

— To dobrze; powiedźże tam po drodze majtkom, żeby ich tu do mnie przyprowadzili.

W parę minut po wyjściu porucznika, Barthet i Guillois wchodzili do kajuty kapitana; obaj mieli ręce związane.

— Raccie panowie wybaczyć mojemu porucznikowi—przemówił do nich kapitan szyderskim tonem—że was potraktował, jak zwyczajnych złoczyńców. Ale wy tak skwapliwie chcieliście nas poprowadzić na szubienicę, że nie powinniście się nam dziwić. Czy wiecie, że miałem przed chwilą niekłamaną ochotę posłać was na dno morskie, na pastwę rekinom. Uspokójcie się jednak, obmyśliłem już co innego. Wszak bardzo sobie życzyście opuścić mój okręt?

Dwaj młodzi ludzie, nie pojmując do czego to szyderstwo miało zmierzać, wzruszyli tylko pogardliwie ramionami.

— Muszę więc zadość uczynić waszym życzeniom—ciągnął kapitan dalej, tym samym tonem—i niezwłocznie was na ląd wysadzę.

— Wszystkie te żarty na nic się nie przydadzą—odezwał się zimno Barthet—za kilka godzin, jeśli nie zginiemy z twojej ręki, bę-

dziemy wolni, a ty za to, kapitanie, dostaniesz się w ręce sprawiedliwości i będziesz może w gorszym od nas położeniu.

— Oho! zkądże to taka pewność? sądzicie może, że Osa nie potrafi się wymknąć ze szponów tej fregaty, którą chcieliście nam na kark sprowadzić? Otóż, nim się rozstaniemy, muszę was z tego względu uspokoić, żebyście się darmo o mnie nie troszczyli. Księżyc zajdzie już niezadługo; wiecie dobrze, że noc pod zwrotnikami jest najciemniejsza na parę godzin przed wschodem słońca. Inny statek nie odważyłby się płynąć w bliskości brzegów wśród ciemności, ale nasz sternik Cabot zna doskonale drogę i trafi wszędzie po omacku. Pogasimy latarnie i cichuteńko wymkniemy się z przed nosa naszym przesładowcom, którzy jutro dopiero po dniu spostrzegą nasze zniknięcie. Wy zaś, moi panowie, nie będziecie mieli tej przyjemności, ażeby im ten figiel wytłómaczyć, bo i wy także udacie się niezwłocznie w drogę, w inną stronę... Widzę, że się uśmiechacie, jakby z niedowierzaniem, sądzicie zapewne, że jeżeli was mam zostawić na lądzie, to wam nikt przecież nie przeszkodzi wejść w stosunki z tym okrętem, któremu tak sprzyjacie. Ale muszę wam w końcu otworzyć oczy i wyjawić moje zamiary, tém bardziej, że będą wykonane niezwłocznie, bo nie mam czasu do stracenia. Dziś rano przyjaciel mój Gobi wyznał mi w zaufaniu, że już od dawna w sercu jego zrodziło się pragnienie, które koniecznie zadowolnić musi, coby go to nie kosztowało. Oddałbym wszystkich moich szambelanów, mówił ten poczciwiec, za dwóch białych niewolników; byłaby to najpiękniejsza ozdoba mojego pałacu, nie odstępowaliby nigdy mojej osoby.

— Co, miałbyś pan sumienie!...—krzyknął Guillois, nie mogąc powstrzymać oburzenia.

— Pozwólże kapitanowi dokończyć—przerwał mu Barthet obojętnie—o sumieniu tu nie może być mowy.

— Nie mam potrzeby jaśniej się tłómaczyć—rzekł kapitan z jadowitym uśmiechem—zrozumieliście panowie niezawodnie, że postanowiłem wyświadczyć przyjacielowi mojemu przysługę i ofiarować mu was obu

w podarunku. O ile sobie przypominam, panie Barthet, miałeś pan wielką ochotę zakosztować podróży po krajach nieznanym; otóż będziesz miał tę przyjemność; odbędziesz podróż w okolicy nietkniętej stopą Europejczyka i na domiar dogodności, nic cię to nie będzie kosztowało, dostaniesz eskortę bezpłatną.

— Zostaw pan te żarty—rzekł Barthet z zimną krwią i powagą—jesteśmy w twojej mocy, możesz więc nas zabić, lub sprzedać, to twoje rzemiosło i nie mogliśmy się po tobie spodziewać czego innego.

— A wy—krzyknął kapitan—co udajecie uczciwych i honorowych ludzi; czyż nie daliście słowa, że mi szkodzić nie będziecie, póki jesteście na moim okręcie? jakżeście tego słowa dotrzymali?

— Trzeba być głupcem—rzekł Guillois—ażeby uważać za obowiązek dotrzymanie słowa, gdy słowo to wymuszone było z nożem na gardle przez zbójców i łotrów. Tacy ludzie wyjęci są z pod prawa, a ten, kto ich nie wyda w ręce sprawiedliwości, staje się ich współnikiem.

Na te słowa kapitan zakipiał takim strasznym gniewem, że pochwycił rewolwer i prawie nieprzytomny wymierzył lufę jego prosto w pierś zuchwałego młodzieńca. Ale burza ta uciszyła się nagle, opuścił pistolet, i odetchnął głęboko:

— Nie, to nie byłaby dostateczna zemsta—rzekł przybierając znowu ton szyderski—wolę, żebyście się dostali w ręce mego przyjaciela. Tam na dworze tego wspaniałomyślnego monarchy, obracając ciężkie żarna, lub nosząc wodę ze studni, gdy obraz utraconej ojczyzny stanie przed oczyma waszjej duszy, gdy przypomnicie sobie rodziców, krewnych, przyjaciół, którzy tam po was płakać będą, jakby po umarłych, pomyślcie sobie o mnie, a wtenczas będę dostatecznie pomszczony.

Dwaj przyjaciele mieli tyle mocy nad sobą, że nie okazali najmniejszego wzruszenia, chociaż dreszcz przeszedł ich od stóp do głowy. W tej samej chwili wszedł porucznik Dawis, prowadząc z sobą króla Gobi. Monarcha przywdział jeden z najbogatszych mundurów, gdy mu powiedziano, że kapitan chce się z nim widzieć i pośpieszył niezwł-

ocznie na pokład Osy. Radość jego była niezmierna, gdy się dowiedział, jaką niespodziankę zgotował mu jego sprzymierzeniec, a lękając się, aby go ta gratka nie ominęła, przywołał jak najspieszniej kilkudziesięciu wojowników ze swego orszaku, kazał im związać ręce i nogi więźniów i odnieść ich w tryumfie do bambusowego namiotu, który zbudował sobie na przódce na wybrzeżu, na czas pobytu swego w tych stronach.

Dwaj starsi pasażerowie, Giliasse i Toucas, spoczywali przez ten czas w kajutach i później dopiero dowiedzieli się o smutnym losie swoich towarzyszy. Kapitan uwiadomił przyjaciela Gobi o obecności wojennego okrętu w pobliżu i radził mu, aby jaknajspieszniej wynosił się z całym swoim obozem, ażeby go czasem kłopot jaki nie spotkał, gdyż nagromadzone na brzegu towary mogły wydać handel, jaki się tu odbywał. Król przestraszony oszedł natychmiast, pobudził wszystkich urzędników swojego dworu, kazał im copędzej brać na plecy wszystko, co utargował w tym dniu od kapitana Osy, bezcki z rumem, sztuki płócienek, paki z błyskotkami, i cały obóz ruszył wśród nocy, aby przed wschodem słońca dostać się w głąb lądu. Białych niewolników uwolniono z więzów. Murzyni zarzucili im sznury na szyję i ciągnęli za sobą, jak bydłęta na rzeź prowadzone.

Tymczasem Osa podniosła kotwicę i sterownik Cabot skupił całą swoją uwagę i zimną krew, aby wyprowadzić statek bez szwanku wśród ciemnej nocy na pełne morze. Nie łatwa to była sprawa, brzegi wszędzie wdzierają się w morze podwodnymi rafami, jedno małe zboczenie mogło wprowadzić okręt na mieliznę, lub zahaczyć go o ostrą krawędź skały; było to zuchwałstwo niesłychane. Cała osada okrętowa pojmowała dobrze niebezpieczeństwo tej przeprawy; każdy czuł, że życie jego wisi na włosku. Żaden głos nie przerywał ciszy, żadne światelko nie zabłysło wśród ciemności, latarnie starannie pogaszone. Po niejakiem czasie ujrzano zdaleka trzy światła migające na falach; były to latarnie okrętu wojennego; stał on wprost naprzeciw przystani i nigdy w biały dzień najmniejsze czółenko nie zdołałoby się wymknąć zład

niepostrzeżenie. Osa zwolniła jeszcze biegu i cicho, jak widmo, prześliznęła się wzdłuż brzegów, unikając zbliżenia do fregaty o ile tylko było można i wkrótce światła znikły znów z widnokregu, a statek wypłynął na pełne morze, kapitan odetchnął głęboko i pierwszy przerwał milczenie.

— Jeszcze i tą razą лихо nas nie weźmie—rzekł—pokazuje się, że Osa doczeka później starości, jakby najpocześniejszy okręt handlowy.

Słońce już było wysoko, gdy Giliasse i Toucas przebudziwszy się ze snu spojrzeli w okna swojej kajuty i ze zdziwieniem spostrzegli, że dokoła nic już widać nie było, oprócz nieba i wody. Wtenczas dopiero dowiedzieli się i o niebezpieczeństwie przebytem szczęśliwie w nocy i o szatańskiej zemście kapitana nad dwoma młodymi pasażerami. Trzeba też oddać sprawiedliwość Toucasowi, że w pierwszej chwili oburzyło go to niezmiernie, i zagroził znowu kapitanowi raportem do rządu, ale Giliasse uspokoił go prędko, bo o własną skórę się obawiał i postanowili obaj znosić los swój: cierpliwie i łagodnie.

— Zawsze to jednak powiem—rzekł w końcu Toucas—że nie pojmuję, jak też zarząd marynarki mógł takich ludzi, jak my, wyprawić na podejrzanym okręcie. To niedarowane.

We dwa miesiące później, rybak zapuszczając sieci przy ujściu Rio del Grande, w Brazylii, spostrzegł odłamki drzewa pływające po wodzie, schwycił je i wyczytał na desce, oderwanej od masztu okrętowego, napis: *Osa*; poznał, że to były szczątki rozbitego statku tego nazwiska. Cóż więc się stało z Osą? Czy rabusie napotkali po drodze okręt wojenny i zostali nareszcie pokonani i ukarani? Czy ocean rozhukany wymierzył im sprawiedliwość? Któż mógł odgadnąć, jaki był los Osy, dość, że się rozbić musiała, kiedy szczątki jej pływały po morzu. O kapitanie ani osadzie nic nie wiadano. Milczące tonie oceanu nie wydały tej tajemnicy.

(d. c. n.)

## Łamigłówka krzyżyk. (A. J.)

Ułożyć w kształcie krzyżyka dwie nazwy miast, jedna z siedmiu liter, druga z pięciu, trzecia litera wspólna obu nazwom. Pierwsze miasto szląskie, drugie mazowieckie.

## Homonimy. (R. J.)

1) Miara i miasto na Wołyniu. 2) Zwierzę, gwiazdozbiór i choroba.

## Łamigłówka w kwadraciku. (Wł. N.)

W kwadraciku złożonym z 9 podziałek ułożyć: 2 A — 1 K — 2 O — 4 S—ażeby odczytać w obu kierunkach: 1) Nazwę ptaka. 2) Owadu. 3) Narodowości.

## Rozwiązania do Numeru 23-go.

### Zadania konikowego:

Staś na sukni zrobił plamę;  
 Płacze i przeprasza mamę.  
 Nie gniewam się, rzekła mama,  
 Łatwo się wypierze plama.  
 Ale strzeż się, moje dziecię,  
 Brzydkim czynem splamić życie,  
 Bo ci, Stasiu, mówię szczerze,  
 Ta plama się nie wypierze.

St. Jachowicz.

## Łamigłównki zgłoszkowej:

## Czarniecki.

Cekin

Ai

Cezar

Kair

Rak

Kra

Ranek

Kir

Ren.

## Odpowiedzi od Redakcyi.

Maryni Kn. I nam także egzamina czuć się dają, bo znacznie mniej liścików nadchodzi w tej porze i najczęściej króciutkie. Ale cóż robić, nauka przedewszystkiemi, spodziewamy się, że kochani korespondenci wynagrodzą nam to sownie w czasie wakacyj. Rozwiązanie łamigłównki jest trafne, a nadesłana zagadka liczbowa bardzo dobra. Zadanie konikowe byłoby lepsze, gdyby miało mniej kratek próżnych; ale zobaczymy, może się na to coś poradzi.

Mannce B. w Starym Konstancyowie. Wszystkich młodych czytelników naszych uważamy za dobrych znajomych, i wszystkim z równą przyjemnością odpisujemy. Liścik napisany bardzo porządnie, a nawet ładnie; kto chce mieć w późniejszym wieku dobre pismo, powinien jaknajdłużej pisać powoli, dużemi i wyraźnemi literami. Dziękujemy bardzo za wiadomość, że nasze *Wieczory* tak się podobają. Cieszymy się szczególnie, że kochane czytelniczki umiały ocenić wartość *Czytań Wieczornych*, z których wiele skorzystać mogą. Pani Dzieduszycka przyrzekła nam także *Obrazki historyczne*, w podobnej formie opracowane. Dłuższą powieść historyczną pani Krakowowej rozpozniemy w pierwszym Nrze Lipcowym, mamy już do niej umyślnie dorobione piękne ilustracye. Do odgadywania łamigłówek potrzeba tylko troszkę cierpliwości i wprawy. Siostrzyczce, która Pismo nasze tak lubi, przesyłamy serdeczne pozdrowienie; może też kiedy i od niej liścik otrzy-

mamy, a Ludka i Anisia mają także do korespondency niezaprzeczone prawo, jeśli tylko *Wieczory* czytują.

Wiktni Sz. Pamiętamy dobrze ładną kaligrafią dawniejszych liścików i serdecznie dziękujemy, że miła nasza korespondentka nie czekając aż się bolący paluszek zagoi choć parę słówek napisała. Wierszyk Jachowicza w niektórych wydaniach tak był drukowany, jak w naszym zadaniu konikowem.

Maryni K. Nadesłane zadanie konikowe nie jest ułożone według zwykłych prawideł. Zgłoski powinny następować po sobie w takim porządku, jak konik przeskakujały z jednej kratki na drugą na szachownicy. Radzimy poprobować raz jeszcze, a pewnie się lepiej uda. Nasze zadanie trafnie odgadnięte.

Wańdzi R. Nazwa zamku dobrze odgadnięta, ale żeby otrzymać nagrodę, trzeba przysłać opis szczegółowy i porządną tak, żeby mógł być w Piśmie wydrukowany. Zostawiamy jeszcze na to parę tygodni czasu, gdyż dotąd żadnego dobrego rozwiązania nie nadesłano.

Pani Maryi Trz. w Iwaszkowcach. Numer żądany wysłaliśmy powtórnie.

Ks. Filipowi. Pieniądze wraz z kartką przesłaliśmy do redakcyi Przeglądu Katolickiego.

Pani Sz. na Wołyniu. Uczniów uczęszczających do szkół publicznych utrzymują zazwyczaj nauczyciele tychże szkół, lub inne osoby, mające stosowne do tego kwalifikacye i pozwolenie władzy. Możemy wskazać stancją, świeżo otworzoną przez osobę chlubnie znaną w zawodzie pedagogicznym, która z pewnością zaufania rodziców nie zawiedzie. Bliższą wiadomość powzięć można obecnie przy ulicy Żorawiej Nr. 22, mieszkania 1, a od dnia 8-go Lipca Śto-Krzyzka Nr. 17, mieszkania 2.

## OD REDAKCYI.

Prenumeratorom półrocznym i kwartalnym przypominamy wczesne złożenie przedpłaty dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

**Biuro Redakcyi Wieczorów Rodziny od 1 Lipca r. b. przeniesione będzie na ulicę Mazowiecką Nr. 8.**

Treść.—Przed egzaminem, wierszyk, (z drzeworytem), przez Bożenę.—Majówka w Ojcowie, komedyjka w jednym Akcie.—Koty, (z drzeworytem), przez M. J. Z —Wzór do rysunku, (drzeworyt) —Moja pieszcotka, (powieść historyczna), przez Teresę-Jadwigę, (dokończenie).—Konik Zwierzyniecki.—Przygody nieustraszonych podróżników w puszczech Afrykańskich, (dalszy ciąg).—Łamigłównki.—Rozwiązania.—Odpowiedzi od Redakcyi.

Prenumerata wynosi w Warszawie: *Rocznie* Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinny. *Kwartalnie* Rs. 1 i kop. 2½, *Miesięcznie* kop 34 i pół. Na Prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: *Rocznie* rs. 5 i 10 kop. *Kwart.* rs. 1 kop. 27½ w Poznaniu u N. Kamińskiego: *Rocz.* 14 marek. *Kwart.* 3 marki 50 fenig. Z przesyłką pocztową na prowincyi *Rocz.* 16 marek. *Kwart.* 4 marki We Lwowie u Gubrynowicza Schmidta *Rocz.* 7 złr. 20 cent. *Kwart.* 1 złr. 80 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyą: *Rocz.* 8 złr. 80 cent. *Kwart.* 2 złr. 20 cent. w Krakowie u Gebethnera i Sp. *Rocz.* 6 złr. 60 cent. *Kwart.* 1 złr. 65 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyą: *Rocz.* 8 złr. *Kwar.* 2 złr.

Biuro Redakcyi: Ulica Śto-Krzyzka Nr. 14.

Дозволено Цензурою. Варшава, 30 Мая 1881 года.—Redaktorka i Wydawczyni Ludwika Hauke.

Czcionkami M. Ziemkiewicza i W. Noakowskiego, Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.